

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

COLE

Kolejny dzień, kolejna noc.

Byliśmy z Samem w sklepie na stacji benzynowej kilka kilometrów od domu. Niebo nad nami było czarne jak smoła. Mercy Falls leżało jeszcze kawałek dalej. Ten sklepik ratował ludzi w chwilach typu: „o-cholera-zapomniałam-kupić-mleko”. I dokładnie z tego powodu teraz tu byliśmy. A w każdym razie dlatego Sam tutaj był. Brakowało nam mleka, a poza tym zdążyłem zauważyć, że Sam nawet nie zaśnie, jeśli ktoś mu nie każe.

Ja nie miałem zamiaru mu matkować – zazwyczaj to było zadanie Grace – ale Isabel zadzwoniła dziś z informacjami na temat modelu helikoptera, który zostanie wykorzystany podczas polowania, i wszyscy mieliśmy nerwy napięte jak postronki. Grace i Sam zagłębili się w jakiejś niemej sprzeczce, jakimś cudem komunikując się ze sobą tylko za pomocą spojrzeń i najwyraźniej dziewczyna wygrała, bo zaczęła piec bułeczki, a chłopak, dąsając się, wylądował na kanapie ze swoją gitarą. Do bułeczek potrzebne było mleko. Jeśli kiedykolwiek będą mieli dzieci, w samoobronie wytworzy się u nich nietolerancja na gluten.

Pobliski sklep spożywczy zamykali o siódmej, więc Sam był zmuszony udać się na stację benzynową. Pojechałem z nim, bo czułem, że jeśli spędzę jeszcze sekundę w domu Becka, z pewnością coś rozwalę. Z każdym dniem coraz bardziej rozgryzałem sekrety wilków, ale polowanie było tuż-tuż. Za kilka dni moje eksperymenty będą równie użyteczne, co badania na temat ptaka dodo.

Wszystko to przywiodło nas tutaj o jedenastej wieczorem. W sklepie wskazałem na stojak z prezerwatywami, ale Sam obrzucił mnie spojrzeniem całkowicie pozbawionym poczucie humoru. Najwyraźniej używał ich za rzadko albo za często, żeby mój dowcip go rozbawił.

Odłączyłem się od niego i ruszyłem przed siebie sklepowymi alejkami. Przepętniała mnie nerwowa energia. To małe obskurne wnętrze sprawiało wrażenie prawdziwego świata. Wiele miesięcy po tym, jak zabiłem „NARKOTIKĘ”, znikając wraz z Victorem, stałem i uśmiechałem się do kamer przemysłowych. A gdzieś tam ktoś mógł odwzajemnić mój uśmiech. Z głośników zawieszonych obok znaku wskazującego drogę do toalet – „TYLKO DLA KLIENTÓW” – płynęła cicho muzyka. Szyby w oknach były zabarwione zielonoczną nocą, która żyła jedynie na zewnątrz stacji benzynowej. Wszyscy poza nami spali, a ja jeszcze nigdy nie czułem się bardziej przebudzony. Przejrzałem batoniki, których nazwy były lepsze od ich smaku, oraz tablety, z przyzwyczajenia szukając wzmianek na swój temat. Zerknąłem na stojak z lekami na przeziębienie o zawyżonych cenach, które nie wpływały ujemnie na zdolność zasypiania ani prowadzenia pojazdów, i uświadomiłem sobie, że w tym sklepie nie ma niczego, czego bym potrzebował. W kieszeni wyczułem ciężar małego czarnego mustanga, którego podarowała mi Isabel. Wyjąłem go i przejechałem po półce do miejsca, gdzie Sam stał przed lodówką z mlekiem, trzymając ręce w kieszeni. Patrzył na kartony i krzywił się, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

- Dwuprocentowe to niezły kompromis pomiędzy odtłuszczonym a pełnotłustym, jeśli masz problem z podjęciem decyzji – rzuciłem.

Chciałem, żeby Sam zapytał mnie o mustanga, o to, co, do cholery, z nim wyprawiam. Myślałem o Isabel, o fiolkach na drzwiach lodówki, o pierwszej przemianie w wilka, o czarnym niebie napierającym na szyby.

- Czas nas goni – powiedział Sam. – Pamiętasz...?

Elektroniczny dzwonek w drzwiach sygnalizujący nowego klienta przerwał tok jego myśli i uniemożliwił mi ewentualna odpowiedź. Nie odwróciłem się, żeby spojrzeć na wchodzącego, ale instynkt

sprawił, że poczułem mrowienie skóry na karku. Sam też nie odwrócił głowy, ale uświadomiłem sobie, że wyraz jego twarzy się zmienił. Zaostrzył. To na to podświadomie zareagowałem.

W mojej głowie rozbłyły wspomnienia. Wilki w lasach, nadstawiające uszu i odwracające głowy, zaalarmowane. Ostre powietrze w nozdrzach. Zapach jelenia niesiony wiatrem. Czas na polowanie. Nieme porozumienie.

Usłyszałem szmer głosów przy ladzie, gdy nowy klient i sprzedawca wymienili powitania. Sam położył dłoń na uchwycie lodówki, ale jej nie otworzył.

- Może jednak lepiej było nie potrzebować mleka – rzucił nerwowo.

## SAM

To był John Marx, starszy brat Olivii.

Rozmawianie z nim nigdy nie było dla mnie łatwe – ledwie się znaleźliśmy, a każdemu naszemu spotkaniu towarzyszyło napięcie. A teraz na dodatek jego siostra nie żyła, a Grace oficjalnie uznano za zaginioną. Żałowałem, że tu przyjechaliśmy. Ale nie miałem wyjścia – musiałem się zachowywać jak gdyby nigdy nic. John właściwie nie stał w kolejce. Gapił się tylko na stojak z gumami do żucia. Podszedłem do lady, trzymając mleko w dłoni, i stanąłem za nim. Czuć było od niego alkohol, co było przygnębiające, bo wcześniej wydawał się taki młody i niewinny.

- Cześć – przywitałem się ledwie słyszalnie, żeby tylko nie wyjść na źle wychowanego.

John po męsku skinął głową, krótko i surowo.

- Co słyhać – odparł, ale to nie było pytanie.
- Dwa dolary pięćdziesiąt – powiedział do mnie sprzedawca, drobnej budowy mężczyzna, który cały czas wlepił wzrok w ladę.

Odliczyłem pieniądze. Nie patrzyłem na Johna. Modliłem się, żeby nie rozpoznał Cole'a. w rogu sklepu zauważyłem niewielką kamerę przemysłową czujnie obserwującą nas wszystkich.

- Wiedziałaś, że to jest Sam Roth? – zapytał John.

Przez chwilę panowała cisza, zanim sprzedawca zorientował się, że chłopak zwraca się do niego.

Spojrzał w moje przekłute żółte oczy, a potem opuścił wzrok z powrotem na rachunki rozłożone i na ladzie i odpowiedział uprzejmie.

- Nie, nie wiedziałem.

A przecież wiedział, kim jestem. Wszyscy wiedzieli. Poczułem do niego sympatię.

- Dzięki – powiedziałem mu, odbierając swoją resztę, wdzięczny za coś więcej niż tylko za monety.

Cole odepchnął się od blatu.

- Nic nie powiesz? – zaczął mnie John.

Usłyszałem cierpienie w jego głosie. Serce mi waliło, gdy odwróciłem się w jego stronę.

- Przykro mi z powodu Olivii.
- Powiedz mi, dlaczego musiała umrzeć – zażądał chłopak. Chwiejąc się, zrobił krok w moim kierunku. Poczułem jego oddech cuchnący alkoholem – mocnym, czystym i wypitym niedawno, sądząc po zapachu. – Powiedz mi, dlaczego tam była.
- John, nie wiem... - Wyciągnąłem dłoń, chcąc go powstrzymać.

Chłopak odepchnął moją rękę i ten gest sprawił, że Cole poruszył się niespokojnie.

- Nie kłam. Wiem, że to ty. Wiem to.

Ułatwił mi sytuację. Nie potrafiłem kłamać, ale w tym wypadku nie musiałem.

- To nie byłem ja. Nie mam z tym nic wspólnego.
- To odpowiedni moment, żeby przenieść waszą rozmowę na zewnątrz – rzucił sprzedawca.

Cole otworzył drzwi. Do środka wtargnęło rześkie nocne powietrze.

John złapał mnie za rękaw.

- Gdzie jest Grace? Dlaczego ze wszystkich ludzi na świecie wybrałaś akurat moja siostrę? Dlaczego Grace? Dlaczego właśnie one, ty popaprany...

Zobaczyłem to w jego twarzy albo usłyszałem w głosie, albo poczułem w dłoni zaciśniętej na mojej kurtce – w każdym razie zorientowałem się, co zamierza zrobić, i kiedy zamachnął się na mnie, uniosłem ramię i zablokowałem cios.

Nie mogłem zrobić nic więcej. Nie zamierzałem się z nim bić. Nie z takiego powodu. Niekiedy przeżywał tak dużo smutku, że jego słowa zlewały się w bełkot.

- Okej, na zewnątrz, już! – zawołał sprzedawca. – Przenieście się na dwór! Żegnam! Miłego wieczoru!
- John – powiedziałem. Moje ramię pulsowało w miejscu, w którym wylądowała jego ręka. Adrenalina krążyła mi w żyłach, napędzana niepokojem chłopaka, napięciem Cole'a i moja własną gotowością do walki. – Przykro mi. Ale to nie pomoże.
- Pewnie, że nie – zripostował John i znowu próbował mnie zaatakować.

Cole nagle znalazł się pomiędzy nami.

- Pora na nas – oświadczył stanowczo. Nie był wyższy od żadnego z nas, a jednak nad nami górował. Popatrzył na mnie, oceniając reakcję. – Nie róbmy scen w sklepie.

John, przytrzymywany przez Cole'a na wyciągnięcie ręki, wpatrywał się we mnie intensywnie.

- Polubiłem cię, kiedy cię poznałem – wyznał. – Potrafisz w to uwierzyć?

Poczułem mdłości.

- Chodźmy – rzuciłem do Cole'a, a do sprzedawcy powiedziałem: - Jeszcze raz dzięki.

Cole ostrożnie odwrócił się plecami do Johna.

Drzwi już się za nami zamykały, gdy jeszcze dotarł do nas jego głos.

- Wszyscy wiedzą, co zrobisz, Samie Roth.

Nocne powietrze pachniało benzyną i dymem. Gdzieś niedaleko ktoś musiał rozpalić ognisko. Miałem wrażenie, że czuję wilka płonącego mi w trzewiach.

- Ludzie po prostu uwielbiają cię bić – zauważył Cole, wciąż nabuzowany energią.

Mój nastrój wpływał na usposobienie tego chłopaka i vice versa. Obaj byliśmy wilkami. Czułem się ożywiony i lekki. Volkswagen stał niedaleko, na skraju parkingu. Po stronie kierowcy zobaczyłem długą, bladą rysę po kluczykach. Przynajmniej wiedziałem już, że natknęliśmy się na Johna nie przez przypadek. Fluoroscencyjne światła sklepu odbijały się w lakierze. Żaden z nas nie wsiadł do środka.

- To musisz być ty – oznajmił nagle Cole. Otworzył drzwi od strony pasażera i stanął na progu auta, opierając się o dach i pochylając w moim kierunku. – To ty musisz poprowadzić wilki. Ja próbowałem, ale nie potrafię zachować ludzkich myśli po przemianie.

Spojrzałem na niego. Palce mnie mrowiły. Zapomniałem zabrać mleko ze sklepu. Wciąż myślałem o atakującym mnie Johnie, o interwencji Cole'a, o nocy żyjącej wewnątrz mnie. Nie potrafiłem zdecydować: „Nie, nie mogę tego zrobić”. Jeszcze przez chwilę wszystko wydawało mi się możliwe.

Ochłonąłem i wtedy powiedziałem:

- Nie chcę tam wracać. Nie mogę tego zrobić.

Cole parsknął:

- Prędzej czy później i tak się przemienisz, Ringo. Nie jesteś całkowicie wyleczony. Równie dobrze możesz w międzyczasie zbawić świat.

Miałem ochotę powiedzieć: „Proszę, nie każ mi tego robić”, ale jakie znaczenie miałyby to dla Cole'a, który sam odwalił najgorszą część roboty?

- Założyłeś, że będą mnie słuchać – rzuciłem.

Zdjął dłoń z dachu volkswagena. Ślady jego palców zniknęły z lakieru samochodu sekundę później.

- Wszyscy cie słuchamy, Sam. – Zeskoczył na asfalt. – Ty po prostu nie zawsze do nas mówisz.